

36449



Stanowczość a złość w wychowaniu dzieci.

Wychowanie dzieci, ciężki to obowiązek dla rodziców, mozolna praca i długoletnie zabiegi. A jednak muszą oni to wychowanie uczynić właściwym, rozumnym i przykładowym, gdyż odpowiadają za dzieci swoje wobec Boga i ludzi. Mają te dziateki bowiem, jako „stworzone na obraz i podobieństwo Boże“, Stwórcy swemu chwałę przynosić, a bliżnim swoim pożytek, jako przeznaczone na to, by żyć w społeczności ludzkiej. Synowie i córki, o których rodzice nie dbają, pójdą na bezdroża, staną się wyrzutkami ludzkości, a gorzkim wyrzutem dla rodziców.

Ludzie, których znamy jako uczciwych, prawych, uczynnych, mieli zazwyczaj dobrych rodziców, którzy im prawidłowe dali wychowanie.

Niechaj dziecko prowadzone będzie silną ręką ojca — chowane pod bacznym a troskliwym okiem matki. Niech rodzice wiedzą o każdym jego kroku. Bez wypowiedzenia się im, niech nie wydała się z domu, gdyż zbyt często może się dostać w złe i zepsute towarzystwo, które zatruje mu młodą duszę i zniszczy w niej dobre ziarno, za-

siane tam nauką zacnych rodziców. Nie darmo mówi przysłowie: „Z jakim przestajesz, takim się stajesz.“

Rzecz to pewna, że dziecko trzeba często napomnieć, połajać, a nieraz i ukarać; bez tego nie wyrośnie na ludzi; ale niech matka każda pamięta o tem, że w żadnym razie nie trzeba do dzieci przystępować ze złością. To jest tak ważne i tak konieczne, że o tem przy wychowaniu dzieci zapominać nie można. Inaczej dziecku zrobi krzywdę, mieć będzie grzech na sumieniu, a nie uzyska poprawy, ani dobrego skutku ukarania. Musi ona pamiętać jak pacierz tę zasadę: „Nie wolno na dzieci się złościć!“

Rozważmy bowiem, co ze złości powstaje:

Oślabia ona wzajemnie przywiązanie między matką a dzieckiem, które przecie nigdy ustawać nie powinno. Matka właśnie ma się o to starać, by ta miłość stale się zachowała. Niech dziecko garnie do siebie, pieści, pocałuje choć raz na dzień; w święto niech się niemi bawi, robi im jaką przyjemność, posłucha cierpliwie ich opowiadania, posmuci się ich zmartwieniem, a poraduje uciechą. — Wtedy dziecko czuć będzie, iż w matce ma najserdeczniejszą przyjaciółkę i najtkliwszą opiekunkę. Złość zniweczyłaby te wszystkie dobre uczucia, bo dziecko bite często, a ze złością, nie może matki pokochać; póki małe boi się, ale

podrósłszy, zamiast miłości, chowa w sercu złość i chęć zemsty. Czuąc w sobie siłę, a nie mając hamulca, odda złem za złe i na przekór robić będzie to, czego rodzice mu bronią i co ich do gniewu pobudza.

Jeśli dziecko jest wątłe i chorowite, to złość na niego wywarta jest dla niego zgubą. Ciągłe bicie lub krzyki tak je podrażni, że wreszcie samo nie wie, co robi; ucieka od matki, trzęsie się, płacze, a w końcu może zupełnie zgłupieć.

Złością zresztą nic się nie osiągnie. — Jeśli zbijesz n. p. złodzieja złapanego na gorącym uczynku, to złodziejstwa wcale go przez to nie oduczysz; na drugi raz będzie on się starał tylko sprytniej kraść, aby nie zostać schwytanym. Jeśli przeklinasz dziecko krnąbrne, to je tylko kłąć nauczysz. Ważną jest tedy rzeczą postępować z dziećmi łagodnie, cicho i spokojnie.

Chociaż jest to czasem bardzo trudnem, trzeba do tego przywyknąć, a niczego nie robić za pierwszym popędem.

Oto weźmy na przykład taki przypadek: Gdy usłyszycie pomiędzy dziećmi hałas i krzyk, poznajecie, że któregoś z nich zawiniło i już wam nieraz złość płomieniem na twarz wybucha, wtedy, broń Boże, nie biegnijcie do nich, ale westchnijcie: „Boże daj mi łaskę, abym dziecku krzywdy nie uczyniła“.

To wam zaraz da opamiętanie, złość was porzuci i spokojnie pójdziecie pogodzić poważnionych. Sama wasza poważna postawa i cichy, łagodny głos zmusi już dzieci do uciszenia się. Wtedy wysłuchajcie cierpliwie, co wam powiedzą, a gdy rozpatrzywszy rzecz uznacie, iż któregoś z nich jest winne, napomnijcie je rozsądnie, a jeśli trzeba, ukarźcie, ale łagodnie i sprawiedliwie. Dziecko zrozumie, iż na karę zasłużyło, ale złości się nie nauczy, ale starać się będzie nadal poprawić. Tylko tak wymierzona kara przynosi dobre skutki.

Więc nie złość, lecz stanowczość potrzebna w wychowaniu.

Dzieci są takimi, jakimi je stworzy wychowanie, czy w domu, czy też w szkole, a jakimi one zostaną, taką będzie przyszłość ich i narodu. Wszak z tych dziatek

powstaną kiedyś rodziny, gminy i państwa. Nie zapominajcie o tem, wychowując to młode pokolenie.

Kluby dziecięce.

Są w Ameryce północnej instytucje dobra publicznego, nieznane wcale społeczeństwu europejskim, albo znane im tylko ze słuchu. Do rzędu instytucyj takich należą tak zw. „kluby dziecięce“, obliczone na pożytek i przyjemność najmłodszego pokolenia, przyszłych obywateli kraju. Europa zna rozmaitego rodzaju kluby, jak wojskowe, rzemieślnicze, robotnicze, świeżo nawet w Londynie otwarty zyszał klub dla żołnierzy, klub jednak dla dzieci to wynalazek czysto amerykański, który, jak dotąd, nie znalazł naśladowców w Europie.

Cel i zadanie klubów dziecięcych polega na dostarczeniu dzieciom, zwłaszcza z sfery robotniczej, przyjemnej a godziwej rozrywki. Inicytator klubów tych wychodził z założenia, że w ciągu dnia dzieci z rozmaitych względów mniej dostępne są dla wpływów demoralizujących i że niebezpieczeństwo demoralizacji w większych środowiskach, o takich bowiem tylko jest mowa, grozić zaczyna dzieciom dopiero z nastaniem zmroku. O tej też porze kluby dziecięce otwierają zaczynają podwoje dla małoletnich członków swoich.

Każde dziecko, po uiszczeniu groszowej opłaty, korzystać może swobodnie z wszelkich urządzeń klubowych. A urządzenie to jest urozmaicone: są tu biblioteki, czytelnie, sale koncertowe, gimnastyczne, warsztaty, łaźnie, kąpiele itp. Co jednak najważniejsza, że dziecko, aczkolwiek nienawykłe do tej atmosfery pogody, jedności i czystości, w jakiej się nagle znalazło odzyskuje szybko swobodę dziecięcą, nikt się bowiem do jego zabaw nie wtrąca, nikt go nie szpieguje i nie przestrasza co chwila.

Nowojorskie kluby dziecięce obchodziły święte dziesięciolecie istnienia swego. O pożyteczności instytucyj tej i o sympatyi, jaką się cieszy wśród ludności, świadczy najle-

piej liczba dzieci, które z klubów tych w ciągu 10 lat korzystały; wynosi ona ni mniej ni więcej, jeno 800.000. Liczba dzieci zaś, które uczęszczały do wszystkich klubów, w Ameryce istniejących, dochodzi do dwóch milionów.

Co jednak najcharakterystyczniejsze, że powstanie swoje kluby dziecięce zawdzięczają nie któremuś z miliarderów-filantropów amerykańskich, lecz zwykłemu robotnikowi jednej z fabryk tkackich w Bostonie, nazwiskiem Tomasz Schou. Wracając wieczorem z fabryki do domu, miał sposobność kilkakrotnie widzieć gromadkę dzieci, wędrujących się beczynnie po zaułkach miasta. Żał mu się zrobiło tych biednych istot bezdomnych, zaprosił więc dzieci do skromnego mieszkania swego i napoiwszy je i nakarmiwszy, zabawił je zaczął opowieściami o podróżach, ciekawych zdarzeniach i t. d.

Dzieci zasmakowały w rozrywce tej i zawiadomiły o niej towarzyszy. Wkrótce małe mieszkanko tkacza okazało się za szczupłe, ażeby pomieścić wzrastające z dnia na dzień szeregi młodocianych gości. — Zwiększono mieszkanie raz i drugi i to jednak nie wystarczyło. Wówczas właściciel fabryki, w której Schou pracował, ofiarował pół miliona marek na wzniesienie własnego gmachu dla „klubu dziecięcego“, jak robotnik nazwał skromnie stworzoną przez siebie instytucję. Dziś klub ten liczy przeszło dwa tysiące członków przeważnie dzieci robotników.

Fakt opisany powyżej miał miejsce przed 17 laty. Od tej pory powstał w Stanach Zjednoczonych cały szereg zakładów takich, które rozwijając się i udoskonalając, stanowią dziś jeden z najlepszych i najbardziej celowych środków wychowawczych.

MODLITWA.

W szczęściu — jest tem szczęściem samem;
W cnocie — wytrwania potęgą;
W cierpieniu — pociech balsamem;
W grzechu — poprawy przysięgą.

Bóg się w swem istnieniu błogiem
Nie modli, — bo w żadnym niebie
Nie zna wyższego od siebie,
I dla tego też — jest Bogiem.

Anioł z pochylonem czołem
Wiecznie zachwycon w pokorze,
Bez modlitwy żyć nie może!
I dlatego — jest aniołem!

Człowiek z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień lub radości kole.
Modli się, gdy chce, ma wolę,
I dlatego — jest człowiekiem.

Szatan wszystko wie, rozumie,
Ale cóż mu jest nieznanem? —
Modlitwę odrzuca w dumie,
I dlatego — jest szatanem.

Deotyma.

WŁODZIMIERZ SULIMA.

CZYJA WINA.

Z trzaskiem rozwarły się drzwi, i do wnętrza chaty wszedł Dzierżak, z czapką przekrzywioną na bakier.

— Mam list do was — burknął przez zęby do młodej kobiety, krzątającej się po izbie.

— Kuba pisał? — zapytała uradowana.

— A juścić że on pono. Marka i pięć amerykańska, pewnie i ruble w nim będą.

Począł przeglądać list pod światło, wreszcie zapytał:

— Każecie otworzyć?

— Dajcie pokój wójcie, ja sama otworzę i przeczytam.

— Cóż to, boicie się urzędnika gminnego?

— Ano, bo widzicie...

— Widzę, widzę, żeście głupia i tyle.
Tak się o ten list Kuby lękacie, jakby był od kawalera. Przecieżeście z nim już

pięć lat przeżyli, a dopiero rok jak was odjechał. Mielście dość czasu wykochać się.

— E, bo wy zaraz wóście...

— A pewnie że zaraz. Bo co tak będziecie ciągle tylko za swoim starym? Lepiej moglibyście teraz... — resztę dokończył szeptem, pochwyciwszy ją wpół.

— Że też wy nie boicie się obrażać Boga, zawołała zaczerwieniona kobieta, wydzierając się z rąk jego.

— A wasz Kuba myślicie, że się Boga boi? On znalazł sobie tam nie jedną, a o was wcale nie stoi nawet.

— Gdzieby ta nie stał; przecie listy zawsze pisze.

— Pisz bo musi. Chałupę i grunt zostawił, to i staranie ma o tem.

Głęboki smutek napełnił naraz serce kobiety. Lęk jakiś ogromny przejął ją do głębi, który zagasił w niej pierwszy porыв radości, jaki doznała na wiadomość o liście od męża.

Dzierżak popatrzył badawczo w oczy kobiety, i uśmiechnął się pod wąsem.

— A u was w domu wesoło i rozkosznie jak w raju. Tylko nawet siadać nie prosicie.

— Siadajcie — rzekła krótko kobieta. Wójt usiadł i porwał ją za rękę.

— Czego wy się mnie boicie — rzekł zduszonym głosem — ja przecie wam żadnej krzywdy nie myślę zrobić.

— Dalibyście mi spokój wóście.

— Nie, nie dam, bo i poco. Mnie się we łbie kręci i dusza o mało ze mnie nie wyskoczy, kiedy was widzę. Rad jestem, że ten list od waszego przyszedł, bo mogłem śmiało choć na chwilę tutaj wstąpić, i w oczy wam popatrzeć.

Pociągnął ją ku sobie i dodał ciszej:

— Wiecie Jagna, ja łeb stracił przez was, zasłoniście mi świat i o was tylko myślę.

— Wóście, bójcie się Boga, a żona wasza.

— Żona? Abo to wasz mąż nie ma żony, a za innemi patrzy?

Kobieta wyprostowała się dumnie.

— Kłamiecie, nie prawda! — zawołała z mocą.

— Prawda, ja, urzędnik gminny wam to mówię!

Nabiegłe krwią policzki Dzierżaka gorzały, z oczu biły złowrogie iskry.

Jagna poczęła płakać; z ust jej rwały się jakieś urywane wyrazy.

Wójt począł ją pocieszać, wreszcie porwał nagle wpół i w usta ogniście pocałował.

Kobieta wyrwała się, prosiła, ale on cisnął ją silnie do piersi i szeptał zdławionym głosem.

— Jagna... ja was bardzo miłuję... nie bądźcie dla mnie zła... mąż wasz nie wart takiej żony...

Wydarła mu się z rąk, i drżąca cała z płaczem i ogromnego lęku, wcisnęła się w kąt izby.

On zbliżył się ku niej.

— Wóście, idźcie stąd, bo ludzi zwołam — błagała Jagna broniąc się rękami.

— To powiem, żeś mi sama schadzkę tutaj zrobiła.

— Miejcie litość nademną.

— Ani myślę Jagna. Wiedz o tem, że urzędnik przed tobą stoi, którego musisz słuchać.

Kobieta oddychała szybko, wcisnięta tak wkąt, że prawie przylepiła się do ściany.

— Ludzie... weźcie tego waryata! — zawołała naraz z całych piersi.

Dzierżak rzucił się ku niej jak zwierzaniony, porwał w swoje silne żylaste ręce, przyciągnął do siebie i począł całować oczy, usta i włosy, szepcząc urywanym głosem:

— Tak Jagna, tak, zwaryował ja przez ciebie, straciłem rozum, bom polubił twoją krasę, jak potępieniec grzech śmiertelny. Nie krzycz tylko, bo wszystkim powiem, że sama mię ciagniesz do siebie, i do grzechu namawiasz...

Naraz skrzypnęły drzwi i ozwał się krzyk zdławiony:

— Wóście... wóście... a wy co robicie?

Była to sąsiadka Jagny — stara Magda. Dzierżak zdrtętnął na chwilę, poblądł na twarzy, wreszcie w bok odskoczył.

Wtulił głowę w ramiona, przetarł ręką po czole, jakby się ze snu zbudził, i ku przybyłej postąpił.

— Magda.. to nie ja winowaty... nie ja... — mówił ochrypłym drżącym głosem — Jagna sama mnie tutaj ściągała...

— Kłamiesz zbój! — zawołała gromkim głosem Jagna. Przyniosłeś list od Kuby, i zamiast oddać, rzuciłeś się, aby mnie skrzywdzić.

— Cicho babo, bo kości połamię! Jak ty do urzędowej osoby mówisz?

— Żeś zbój, gałgan, sto razy ci to w oczy powiem!

Magda naprzód się wysunęła i chciała postąpić ku Jagnie z morałami, ale wójt zatrzymał ją i wywiódł z chaty.

— Poczekaj latawico! — krzyknął jeszcze we drzwiach — popamiętasz ty sobie, co znaczy z wójtem zadzierać.

— List oddaj! — zawołała płaczliwie Jagna.

Ale Dzierżak był już na podwórku, gdzie zwabieni krzykiem sąsiedzi, przypadli ku niemu z pytaniami.

Wieść o napastowaniu wójta przez Jagnę, rozniosła się lotem błyskawicy po siole. Kumoszki rade, że mają o czym prawić, przyczyniały do opowiadania wójta rozmaite dodatki, każda miała do ubrania plotki gotową nowinę, że wiedziała już dawno o prowadzeniu się Jagny, tylko nie chciała o tem nikomu mówić, aby nie psuć sławy kobiecie.

Dobre imię Dzierżaka zostało uratowane; Jagnę zaś omijano jak trędowatą, i na każdym kroku darzono mianem latawicy.

Mijały dni i tygodnie. Wójt nabierał we wsi coraz większej powagi, Jagna do brej sławy nie odzyskała.

Złośliwe sąsiadki nie mogąc zapomnieć raz pochwyconej wieści, przedły dalej nitkę intrygi, dopatrując się w nieszczęśliwej kobiecie coraz to nowszych przewinień.

Jagna gryzła się z umartwienia i tonęła w łzach serdecznych. Twarde dłuto przeznaczenia, wyrzeźbiło na jej obliczu wyraz głębokiego smutku i boleści, wyni-

szczyło młodocianą krasę i piękną powłokę młodości, nadając jej kolor ziemisty.

Nadszedł list od Kuby; pisał do niej krótko, że zdrow i za parę dni wraca do domu.

Wieść ta nie ożywiła wcale Jagny, lecz owszem zasmuciła wielce. Całemi godzinami siedziała w domu bez ruchu, tonąc wśród łez serdecznych i czując, jak w niej dusza zamiera. Serce szarpało się w jej piersiach w bólu przeogromnym, że tak niewinnie świat ją odsądził — tak splugawił jej cześć i dobre imię.

— Czy mąż uwierzy w to, co ludzie mówią? — stawiała sobie zawsze pytanie.

Czasami popadała w stan zupełnej obojętności. Jak nieczuły głaz, siedziała wtedy długie chwile bez znaku życia, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że czas się posilić i obejrzeć gospodarstwo, bo słońce dawno zaszło, a noc otuliła świat w swoich objęciach.

Kiedy się ocknęła z tej martwoty, padała zawsze na kolana przed obrazem. Ale i tu znachodziła rzadko tylko ukojenie, bo słowa modlitwy, pod wrażeniem nawału rozmaitych czarnych myśli, płątały się jej ustawicznie.

Przezwisko „latawica“, jak straszliwy wyrzut sumienia, wżarło się w jej duszę. Nawet ten łzawy jesienny wicher, który tłukł się w burzanach po polu, i targał gałęziami stojącego pod oknem drzewa, przypominał jej zawsze hukiem to słowo.

Raz w burzliwą noc wypadła z domu. Deszcz lał jak z cebra, a błyskawice rozświecały co chwila ciemne mroki. Przerazliwy szum i wycia burzy poganiały Jagnę, zziąjaną do utraty tchu; upiorne widma ścigały krok w krok, wołając za nią z poświstem burzy... latawica!... latawica!

Kobieta przycisnęła dłońmi krwią wezbrane piersi, przystanęła na chwilę, odetchnęła głęboko, i znowu pognęła z wichrem... w stronę zagrody wójta.

.....
Krwawy baldachim łuny rozpostarł się niebawem nad siołem. Krzyk, jęk i trzask ognia, złał się z poświstem wichury w piekielną muzykę. Tłum zbudzonego ze snu

ludu, począł się zbiegać do koła płonącej chaty, i ratować mienie poważanego powszechnie wójtą Dzierżaka.

Brzask poranny oświecił całe pogorzelsko.

Z chaty i stodoły wójta pozostały tylko zgłiszczą, bijące w niebo czarnym słupem dymu. Wieśniacy krzatali się jeszcze, wyciągając z popiołu szczątki domowych sprzętów.

Naraz rozległ się krótki urwany krzyk, i gospodarz jakiś, począł wyciągać ze spaliska nadwęglone członki człowieka.

— Latawica!... — przeszedł po tłumie cichy szept.

— Latawica!...

Wójt stojąc obok, załamał ręce i poikiwał głową.

— Widzicie teraz ludzie — ozwał się — nie mogła mnie grzechem opętać, dlatego z dymem puściła.

I od tej chwili wzrósł Dzierżak jeszcze wyżej w powadze ludu, a latawica, po dziś dzień jest wstydem dla biednego Kuby, który w parę dni po pożarze i znalezieniu zwłok Jagny, powrócił do domu.

ZŁOTE ZIARNKA.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który [kraje

Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje; Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie Raczej się da skałeczyć, niż samo zadraśnić.

—o—

U kogo dla zwierząt znajdzie się opieka, Zasłuży na nazwę dobrego człowieka.

—o—

U kogo miłości znajdzie się choć trocha, Nie tylko swych bliźnich, świat także on [kocha.

—o—

Gdy kto na siebie przyjął obowiązki, Niechże ochotnie dobrej rady słuha: Niechaj je spełnia — inaczej wykaże — Albo złą wolę, albo słabość ducha...

Rady domowe.

Konserwowanie mięsów. A) *Zasalanie czyli marynowanie*, a z niemiecka *peklowanie*.

Świeża wieprzowina zawiera 75 do 80% wody. Woda w mięsie martwym rozkłada się, a jej składniki łącząc się z innymi składnikami mięsa dają cuchnące gazy, które czynią mięso niezdatnym do spożycia. Na stwierdzenie powyższego zapatrywania można przytoczyć, że mięso wysuszone zupełnie, przechowuje się długie lata, nie ulegając rozkładowi. Najlepszą przeto metodą konserwowania mięsów byłoby suszenie, gdyby wieprzowina przy suszeniu, prócz wody, nie traciła także i tłuszczu, i gdyby suszenie nie kosztowało zbyt drogo. Z tych powodów przy konserwowaniu mięsów starają się tylko część wody usunąć, a zresztą usuwają przez nasycenie takimi środkami, które rozwój bakterii gnilnych powstrzymują, od psucia je zabezpieczyć. Do takich środków przeciwnilnych należy sól kuchenna i kreozot, znajdujący się w dymie. Dlatego to wieprzowinę zasalają, a później ją wędzą.

Zasalania rozróżniamy dwa sposoby: suchy i mokry.

a) *Zasalanie na sucho*. Przy tym sposobie, według zachwalanej metody angielskiej, bierze się na 100 kg. mięsów 6 kg. prażonej soli topkowej, $\frac{1}{2}$ kg. saletry i 1 kg. cukru. Na jeden przeto kilogram wieprzowiny wypadnie wziąć 60 gr. soli, 5 gr. saletry i 10 gr. cukru. Saletry dodaje się z tego powodu, że wieprzowina w ropie solnej nabiera zielonawego koloru, saletra zaś przywraca jej kolor czerwony. Saletra, dodana w większej ilości czyni mięso mniej smacznym. Cukier wpływa dodatnio na smak mięsa.

Mieszanie tych trzech ingrediencji, które dla krótkości będziemy nazywać solą, posypuje się najpierw dno solni. Solnią może być koryto, na którym wieprza parzono, może nią być wanienka, faska, beczułka lub t. p. naczynie dębowe. Na posolonem dnie solni układa się najpierw połówce słoniny,

poprzednio dobrze solą natarte i posypuje je solą na 1 cm. grubo. Teraz na połciach układa się szynki, zwracając je stroną mięsną ku górze i wciera w nie sól, tak długo, dopóki mięso sól w siebie wchłania. Przy zasoleniu szynki większych robią otwory przy kościach, kolanowej i kłębowej i pakują w nie po garści soli. Pamiętać o tem należy, że wszelkie mięsiwa przed zasoleniem, czy to na sucho, czy w marynacie, powinny przez jeden dzień chłodzić, by wykruszały. Zasolone na świeżo, wnet po zabiciu wieprza, ziebną od soli na powierzchni, bo sól, rozpuszczając się, działa chłodząco. I to jest niedobrze, bo mięsiwo na powierzchni oziębione, ściąga się i twardnieje, a wewnątrz pozostaje ciepłe, skutkiem czego zaparza się i nie kruszeje. Z przytoczonego powodu nie należy też chłodzić mięsiw na mrozie. Po nasoleniu szynki posypuje się je bobkowymi liśćmi, kolendrą i zielem angielskiem. Można dać także pieprzu w całych ziarnach i jałowcu. Zrobiwszy to zatyka się próżne miejsca mniejszymi kawałkami mięsa, poczem wszelkie szpary wypełnia solą, sypiąc jej na wierzch tyle, by cała jej ilość przeznaczona dla danej masy mięsiwa zużyta została.

Po zasoleniu dobrze będzie przyłożyć mięsiwa krążkiem i przycisnąć kamieniem, by w najniższem jej miejscu mogła się zbierać powstająca ropa. Ropą tą czyli sosem trzeba trzy razy dnia polewać te wszystkie kawałki mięsiwa, które w niej nie leżą, gdyż inaczej uległyby zepsuciu. Polewanie to można sobie ułatwić, robiąc solnię z beczułki dębowej, w takiej bowiem, po ułożeniu mięsiw, można osadzić 2-gie dno i z początku, codziennie, a później co dwa lub trzy dni można będzie beczułkę przewracać. Zresztą i przy otwartych naczyniach zlewanie późniejsze, gdy już mięsiwo dużo ropy puści, będzie mniej uciążliwem. Suchy sposób solenia przewyższa mokry o tyle, że przy nim mięsiwo utracą więcej wody, skutkiem czego staje się trwałszem. Natomiast słabą stroną tego sposobu solenia bywa to, że mięsiwo, leżące w solni na wierzchu, jeśli tylko nie bywa starannie ropą polewane, bardzo łatwo podlega zepsuciu.

Nie można także zapominać o przekładaniu i przewracaniu mięsiwa, te bowiem kawałki, które leżą przygniecione na dnie solni, wprawdzie same sok puszczają, lecz ropy wchłaniać nie mogą.

Rozmaitości.

Kieliszek do kieliszka. Podróżny najał furę z końmi u włościanina we wsi i jechali razem do miasta. Gdy droga wypadła pod górę, zsiadli obaj z wozu, aby ulżyć koniowi. Po chwili spotkali jakiegoś człowieka w obdarciem i brudnem odzieniu, który im się uklonił. Wieśniak bardzo uprzejmie mu się odklonił i poszli dalej. — „Czy ów nędznie ubrany człowiek jest waszym przyjacielem?“ — zapytał podróżny wieśniaka. „On mi wyświadczył dobrodziejstwo i zawdzięczam mu wielce zbawienną naukę“. Chodziliśmy niegdyś razem do szkoły a potem na zarobek. On codzień rano wstępował do karczmy na „kieliszek wódki“, bo mówił, że mu to zdrowo na żołądek i mnie namawiał do tego a gdym nie dał się nakłonić, pytał mnie szydząc: — „Boisz się przepić parę groszy bo chcesz zostać milionerem?“ Ja jednak nie przystałem ani razu, bom sobie obliczył, ile to ja przez rok mogę oszczędzić groszy, jeśli ich na wódkę codziennie nie wydaję. Składając grosz do grosza uskładałem sobie tyle, że sobie mogłem kupić wózek i konia po paru latach, a teraz już nim zarobiłem sobie sporą sumkę. A zawdzięczam to przeważnie owemu byłemu koledze, bo patrząc na jego obrzydliwy przykład i jego całkowity upadek tem spowodowany, że nie mógł już żyć bez tego codziennego kieliszka wódki, taką uczułem obrazę do trunku, że go się zarzekłem na całe życie.

10 „gdyby“ w małżeństwie. Małżonkowie mogliby być o wiele szczęśliwsi niż są:

1. Gdyby się nauczyli zastosować swoje wydatki do dochodów i na stan nie żyli

2. Gdyby nigdy nie opowiadali znajomym i sąsiadom o swoich strapieniach domowych.

3. Gdyby się starali wzajemnie być dla siebie tak uprzejmymi i miłymi, jak w pierwszych dniach swojej miłości.

4. Gdyby każde z nich starało się drugie wspierać i pocieszać.

5. Gdyby każde z nich miało w pamięci, że drugie jest człowiekiem, nie aniołem.

6. Gdyby każde starało się więcej czynić, a mniej wymagać i żądać.

7. Gdyby mieli mniej wytwornych sukien do stroju, a zato więcej skromnych a czystych ubrań do domu.

8. Gdyby uważali więcej na przyzwoite obyczaje domowe, a mniej się sadzili przed obcymi na wyszukane słówka.

9. Gdyby oboje raczej w domu urządzali czasem rozrywki, niżby ich szukali poza domem.

10. Gdyby oboje mieli to na uwadze i pamięci, że dla dobrego wychowania dzieci, muszą przyświecać im dobrym przykładem i być im ojcem i matką w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Swinia pijakiem. Prawdą było i jest, że swinia jest niechlujną tak dalece, że o stworzeniu, które postępkami swemi budzi nasz wstręt, mówi się: postępuje sobie jak swinia. Jednym jednak występkiem, zdaniem ludzkim, niesłusznie krzywdzono swinię i to pijaństwem. Na pijaków mówiło się i mówi częstokroć i dziś jeszcze: upił się jak swinia, tymczasem choć swinia do wszystkich występków jest zdatną, to wódki i wszelkich innych trunków gorących nie cierpi. Tymczasem zaszedł wypadek, który udowodnia, że i w tym względzie ród świński nie jest tak niewinny, jak się napozór wydaje. Oto w mieście Windsorze w Anglii zbliżyły się swinie do beczki z winem rabarbarowem. Dzień był gorący, a że swiniom pić się chciało, więc niewiele myśląc, łyknęły sobie na smak. Widać, że wino przypadło im do gustu, bo po chwili z całej beczki i kropelka nie została. Co za wiele, tego 1 łeb świński nie zniesie. Pi-

jaczki zatoczyły się i przepędziły w rowie cały dzień i całą noc — pijane jak świnię. Przyszły powoli do siebie, jedna jednak zdechła.

Spał na dnie morza. Niezwykle miejsce do spania, wybrał sobie jeden z marynarzy pewnego angielskiego pancernika. Spuszczony z okrętu w ubraniu nurka na dno morza do czyszczenia śruby okrętowej, nurek wykonał swą pracę w kilku minutach, a potem dla odpoczynku usiadł na jednym z olbrzymich skrzydeł śruby i usnął. Po pewnym czasie zaczęły wypływać na powierzchnię wody przedmioty, które ze sobą do czyszczenia zabrał, ale marynarz sam, pomimo sygnałów, jakie mu przesyłano, nie dał znaku życia. Zniepokojony tem oficer dyżurny wysłał do wody drugiego nurka i za chwilę otrzymał telefoniczną odpowiedź: „Spi najspokojniej!” Śpiącego marynarza obudzono i wydobyto na powierzchnię, poczem musiał stanąć „do raportu” przed komendantem — którego jednak wypadek snu podwodnego tak rozweselił, że winny wyszedł bezkarnie.

Elektryczne drzewo. W centralnej Azji znajduje się jedyne w swoim rodzaju drzewo. Jest ono silnie przesyczone elektrycznością i to najwięcej w południe, najmniej około północy, a wcale nic w czasie niepogody. Igła magnetyczna, zbliżona do tego drzewa na 20 metrów, wykonuje już wahanie, ptaki, skoro tylko nań usiedą, natychmiast padają martwe, a owadów nikt na niem jeszcze nie widział. Człowiek może się go dotykać tylko w czasie niepogody, zresztą przy najbliższym dotknięciu doznaje wcale znacznego porażenia. Drzewo to niestety nie zostało jeszcze dotychczas naukowo zbadane.

Nasze dzieci. — Słuchaj, nauczyciel się skarży, powiadając, że większego od ciebie łobuza w całej szkole niema.

— Tak, a wczoraj mi mówił, że jestem zupełnie taki jak ojciec.